Magdalena Petryna,
Joanna Osiewicz-Lorenzutti, Stefan Lorenzutti

ROZMOWA Z TWÓRCAMI WYDAWNICTWA BORED WOLVES

Magdalena Petryna: Czy myślicie o sobie w kategoriach centrum i peryferii albo wydawnictwa z „końca świata"?

Stefan Lorenzutti: Nie, ponieważ współpracujemy z innymi ludźmi – z autor(k)ami, poet(k)ami, artyst(k)ami. Niezależnie od tego, gdzie w danym momencie jesteśmy, współpracując ponad granicami stref czasowych i języków, przekraczamy wszelkie ograniczenia geograficzne. Narysowałem nawet taki zegar – mentalny i dosłowny. Zaczyna się od tureckich autorek, potem jest Europa, następnie przekraczamy ocean i najpierw mamy wschodnie wybrzeże, a potem północny zachód Stanów Zjednoczonych. Zegar ten ma jak najbardziej praktyczny wymiar, wyznacza nam najlepsze pory kontaktowania się w zależności od stref czasowych, ale również symbolicznie pokazuje naszą codzienną współpracę z osobami z wielkich miast, jak Stambuł czy Nowy Jork, czy z osobami żyjącymi w miejscach podobnych do naszego, gdzieś w lesie, w odosobnieniu. Jesteśmy w kontakcie z całym światem, jednocześnie pozostając na szczycie naszej góry, gdzie oprócz nas mieszka jeszcze tylko sześć osób. To dość niezwykłe uczucie. Zupełnie nie czuję, żebyśmy byli na marginesie, chociaż interesują nas sprawy dziejące się poza głównym planem i działalność twórcza, która zazwyczaj ląduje w szufladach.

Joanna Osiewicz-Lorenzutti: Stąd na przykład książka *The Pleasures of Empty Lots* tureckiego poety Efe Murada, która nie jest zbiorem wierszy, ale opowieścią o wędrówce ulicami rodzimego Stambułu w poszukiwaniu dobrego miejsca na redakcję wczesnych poetyckich szkiców. Lub publikacja Nhatt Nichols *This Party of the Soft Things*, na którą składają się bardzo szczegółowe rysowane z natury ilustracje ołówkiem i poemat artystki, która na co dzień zajmuje się tworzeniem komiksów techniką cyfrową. Nhatt tworzy opowieść o tym, jak przyroda odżyje po końcu ludzkości. Jej wizja dotyczy całego świata, ale w ilustracjach zamyka się w bardzo konkretnych miejscach, które odwiedza w czasie spacerów po półwyspie Olympic w amerykańskim stanie Waszyngton.

S. L.: Wiele naszych książek poświęconych jest bardzo konkretnym miejscom – skrawkowi lasu, w którym autorka żyje, domowi, w którym się wychowała, czy właśnie na przykład Stambułowi. Interesuje nas twórczość zakorzeniona w konkretnym miejscu na ziemi, książki, które dzieją się w rzeczywistych przestrzeniach.
Mam świadomość, że jesteśmy *in the middle of nowhere*, lubię to, lubię ciszę i spokój, ale nie czuję tu samotności, to nie jest miejsce mentalnie, twórczo czy duchowo oddalone i odludne.

Angielska fraza *in the middle of nowhere* brzmi inaczej niż polski „koniec świata", bo jeśli *in the middle*, to jednak w jakimś sensie jesteśmy w centrum. I kiedy mówicie, że wasze książki są bardzo silnie związane z miejscem, w którym powstają – one w pewien sposób ustanawiają nowe centra.

S. L.: Postrzegamy nasz wydawniczy katalog jako społeczność. Tak jak mówisz, włączamy poszczególne miejsca do naszego kręgu, żeby się nimi dzielić i pokazać, jak wpływają na nasze postrzeganie świata. Angielski *end of the world* jest romantyczny, kojarzy się z przygodą, wędrówką, miejscem, gdzie niewiele osób ma odwagę dotrzeć.

J. O.-L.: Sama koncepcja peryferii jest bardzo ciekawa, a także to, jak to określenie bywa obraźliwe w miastocentrycznym podejściu. Gdzie i czym właściwie są peryferie? Kreatywnie jesteśmy w samym centrum.

Jak znajdujecie artystów i artystki, z którymi współpracujecie?

S. L.: Każda książka, każda współpraca to osobna historia – czasem szczęśliwy traf, czasem niespodziewane odkrycie, nierzadko podrzucone przez przyjaciół. Zdarza się, że jeden projekt prowadzi nas do kolejnego. To naprawdę ekscytujące, bo w każdej chwili możemy trafić na prace kolejnych artystek, poetów i poczuć natychmiastową potrzebę podzielenia się i opublikowania ich w formie książki. Czasownik „publikować" jest dla nas tożsamy z „dzielić się".

Opowiem o tym, jak budujemy grono osób, z którymi pracujemy, na jednym przykładzie – Sevinç Çalhanoğlu, która pochodzi z Turcji, ale wyemigrowała do Nowego Jorku i mieszka teraz na Brooklynie – znam ją właśnie stamtąd. Pracowaliśmy nad jej książką (*A Promenade at Home*) przez dwa lata. Sevinç wspomniała swojemu przyjacielowi i poecie Efe Muradowi, żeby przesłał mi teksty, on to zrobił, a ja byłem nimi zachwycony. Wydaliśmy już jedną jego książkę i pracujemy nad kolejną. W tekście do tej pierwszej Efe wspomniał inną turecką poetkę – Selcan Peksan. Napisałem do niej, aby się upewnić, że w tekście dobrze zapisujemy imię jej owczarka niemieckiego. Zaczęliśmy korespondować i to doprowadziło nas do pracy nad tłumaczeniem jej poezji i wydaniem naszej kolejnej książki (*Slippage*).

Każdy pomysł wydawniczy zaczyna się od rozmów z ludźmi. Nie chodzi tylko o to, że chcemy pokazać szerzej czyjąś twórczość, ale także o to, że chcemy wspólnie pracować z tą osobą. Praca musi sprawiać nam radość, w przeciwnym razie nie ma sensu.

Pandemiczny rok był dla was przełomowy, wtedy właśnie wydaliście po raz pierwszy wiele książek. Plan na kolejny rok też jest ambitny. Na ile jest to związane z tym miejscem? Czy to miejsce daje coś, czego nie dawał Kraków?

J. O.-L.: Na pewno ważne jest to miejsce w sensie geograficznym, ale także miejsce jako punkt, w którym jesteśmy w życiu. Odnaleźliśmy się zawodowo, a zlecenia wpływają na tyle regularnie, że możemy już sobie pozwolić na publikowanie książek bez skupiania się na tym, czy przyniosą wydawnictwu zysk.

S. L.: Nasze miejsce jest bardzo obecne w mojej poezji i ma na nią bezpośredni wpływ. Piszę o byciu tutaj, o Beskidach, które zmieniły moje życie, zakochałem się w tych górach.

Jesteśmy też bardzo dumni z naszego sąsiedztwa, naszej małej przysiółkowej społeczności. Kiedy podarowałem sąsiadom jedną z książek Bored Wolves, postawili ją tuż obok telewizora. Na półkach mają też cudowne stare książki z czasów PRL-u ze świetnymi okładkami z Biblioteki Rolnika. I wiem, jak ważne było dla nich, że ukazała się książka opowiadająca o naszym wspólnym miejscu.

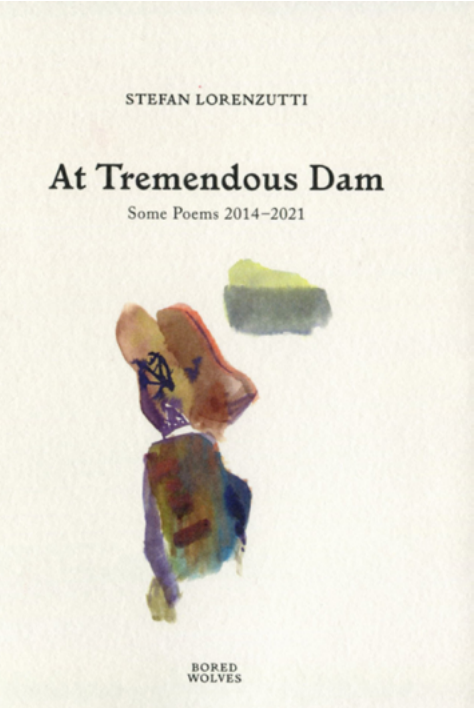

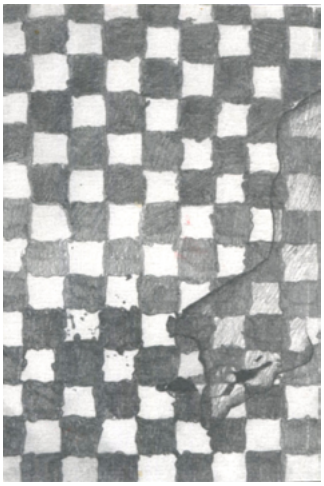

Moglibyśmy działać gdzie indziej, ale jednocześnie nie wyobrażam sobie historii Bored Wolves bez Jeżowej Wody. Tutaj wychowujemy nasze dzieci, tu zbudowaliśmy dom, to wszystko należy do całego procesu. Wszystko się łączy.

A pandemia?

S. L.: Pandemia nieoczekiwanie stała się punktem zwrotnym. Wcześniej jako Bored Wolves wydawaliśmy moje książki poetyckie, ale marzyłem było, by publikować teksty innych. Między 2010 a 2020 rokiem wydaliśmy łącznie 5 książek, a w samym 2021 było to już 10 pozycji. W tym roku wydaliśmy już 9 książek, a na 2023 rok i następne lata zaplanowanych mamy ponad 40 tytułów… To może się wydawać zaskakujące – przeszliśmy nagle od wydawania jednej książki raz na dwa czy trzy lata do publikowania 10 lub więcej pozycji rocznie. Jak to się stało? Dwie rzeczy są tu istotne – po pierwsze podczas pandemii i lockdownów wszyscy byli w domach, więc chyba po prostu było więcej czasu na współpracę. Ale również mieliśmy wielką potrzebę dzielenia się. Nie pomimo pandemii, ale właśnie z jej

powodu. Do mnóstwa miejsc nie mieliśmy dostępu, ale mieliśmy książki. Bez względu na wszystko, jeśli masz książki, będzie dobrze.

J. O.-L.: Z potrzeby dzielenia się zrodziły się dwie małe publikacje, bardzo ważne dla nas i dla historii Bored Wolves. To książka poetycka Stefana – *The Dollmaker* oraz zbiór Sevinç *My Life in Curves Recently*, z odręcznymi wykresami, którymi rejestrowała rytm pandemicznej codzienności na Brooklynie. Książka Sevinç zaczyna się w czasie pierwszego lockdownu, a kończy w momencie rozpoczęcia fali ulicznych protestów w reakcji na zamordowanie George'a Floyda. Dla wielu osób było to pierwsze wyjście na zewnątrz od początku pandemii. Te dwie nasze książki były punktem zwrotnym. Po pierwsze okazało się, że bez względu na okoliczności mamy potrzebę twórczej współpracy i potrzebę wydawania książek. I to był też moment, kiedy poczuliśmy, że jesteśmy gotowi. Aktualnie – brzmi to trochę jak szaleństwo – pracujemy jednocześnie nad 40 książkami. To wszystko jest wynikiem wielkiej potrzeby dzielenia się, ale też prób przełamania przymusowego odosobnienia w alienującym pandemicznym czasie. Chodziło o to, żeby się połączyć, być w kontakcie, na ile było to możliwe.

Te dwie książki odzwierciedlają też ważne dla Bored Wolves obszary twórczości, czyli poezję i rysunki.

S. L.: Rysunki są moją wielką miłością. Oczywiście publikujemy też inne książki oraz tworzymy photobooki, ale to w rysunkach jest dla nas coś magicznego. Fotografia bywa jak przyszpilenie motyla do tablicy albo chemiczne zamrożenie obiektu. Kiedy rysujesz, słyszysz szmer, z jakim gąsienica zmienia się w motyla. Rysunek zawiera wszystkie zmysły i żyje własnym życiem. Wielu spośród artystów i artystek, z którymi pracujemy, jest kojarzonych z innymi mediami niż rysunek, ale praktycznie za każdym razem gdy zadaję im pytanie, czy rysują, otrzymuję odpowiedź twierdzącą. To jest bardzo osobista twórczość, inni jej zazwyczaj nie oglądają i nawet nie sprawdzają, czy mogą mieć do niej dostęp. A ja tak. Uwielbiam szczerość szkicowników. Rysunki i poezja są sercem Bored Wolves, chociaż oczywiście nie jest to sztywne założenie.

Wasze książki są bardzo różne i bardzo podobne jednocześnie. Ich cechą wspólną jest pewien rodzaj intymności.

S. L.: Zależy nam na tym, żeby od razu było widać, że to książki Bored Wolves, ale jednocześnie chcemy, żeby każda z nich miała swoją osobowość. Każda ma swojego indywidualnego, autonomicznego ducha, ale wszystkie funkcjonują jako elementy tego samego dialogu. Z radością to za każdym razem dostrzegamy. Wiele z nich cechuje intymność, opis i rejestr bardzo osobistych doświadczeń. Fascynujące są połączenia ujawniające się między autorami, twórczością, nieplanowane, a jednocześnie silne. Nawet jeśli nie zna się wszystkich naszych książek, te połączenia tam są, czekają na odkrycie. Cieszy nas bardzo, gdy poznajemy ze sobą naszych autorów, gdy się ze sobą zaprzyjaźniają, bo widzimy, jak tworzy się nasza społeczność, wataha Bored Wolves. Nawet oni tak o sobie mówią.

Choćby jeden przykład – wspomniana wcześniej Nhatt Nichols, mieszkająca na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, której wydana rok temu książka jest medytacją o końcu ludzkości. Ta opowieść o zmianach klimatu i wizja przyszłości bez ludzi na Ziemi pozwala autorce na opanowanie nasilonego w czasie pandemii lęku ekologicznego. Smutek wynikający ze stanu, do którego doprowadziliśmy naszą planetę, ustępuje dzięki wyobrażaniu sobie pięknego świata, w którym odradza się pozostawiona sama sobie natura.

Kilka dni temu odebraliśmy z drukarni książkę Selcan Peksan, którą zaczęła pisać w pierwszej godzinie lockdownu w Stambule. Ona również uspokaja się w dobie lęku ekologicznego i pandemii, pisząc wiersze o przyszłości planety bez ludzi, o powrocie natury. Nie myśleliśmy o osobnej serii poruszającej temat zmian klimatu, te książki powstawały niezależnie od siebie.

J. O.-L.: Temat wiąże się bardzo mocno z naszym życiem w górach, gdzie już teraz mamy problemy z wodą. Właściwie nieustannie myślimy o klimacie i o tym, co nas czeka, jak przygotować się na okresy suszy, gwałtowne ulewy czy problemy z dostępnością żywności w sklepach.

Wracając do cech wspólnych, wszystkie książki łączy też materiał. Używamy papierów Munken, które pochodzą ze zrównoważonych źródeł. Większe spulchnienie i szorstkość potęgują doznania czytelnicze i zwiększają wytrzymałość publikacji. Ważna jest dla nas idea, że książki Bored Wolves można wszędzie ze sobą zabrać. Z tego też powodu po jednorazowej próbie twardej okładki pozostajemy jednak wierni miękkiej oprawie.

I wymiarom dopasowanym do plecaka.

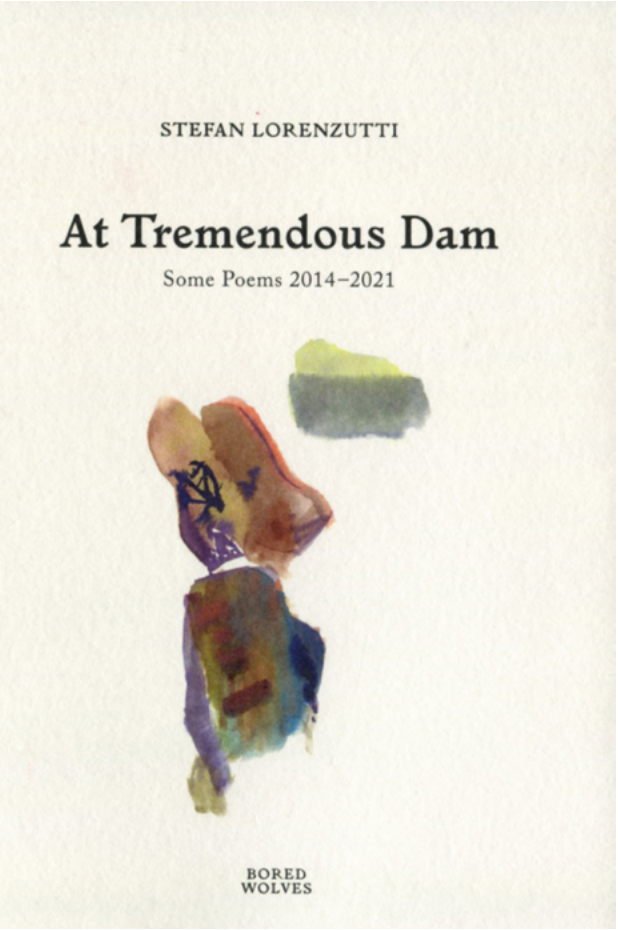

S. L.: *Rucksack dimensions* to kolejna rzecz, która łączy nasze książki z Beskidami, ale też górami i wędrowaniem w ogóle. Książki Bored Wolves mają format stworzony do noszenia w kieszeni, zmieszczą się w każdym plecaku. Chcemy, żeby były zabierane na wędrówki i żeby to towarzyszenie człowiekowi było po nich widać. Zachęcamy wszystkich, żeby nie byli przesadnie delikatni, bo książkom nic się nie stanie. Nie myślimy o nich jak o publikacjach, których miejsce jest na półkach i które przegląda się w białych rękawiczkach.

Choć można by, bo są piękne.

S.L.: Jeśli ktoś bardzo się obawia zniszczenia książki, a jednocześnie ma ochotę zabrać ją w drogę, dostaje od nas dwa egzemplarze.

Nasze książki powinny być zabierane w podróż, same zresztą często o podróżach opowiadają.

J. O.-L.: Patrząc na książki Bored Wolves, można stwierdzić, że jeśli chodzi o kolorystykę i odcienie papieru, kierujemy się paletą naszego małego drewnianego domu. Staramy się, by nasze książki też jako obiekty były bliskie naturze. Nie używamy żadnych lakierów, folii czy zdobień na okładkach.

S.L.: Generalnie nie ufamy temu, co błyszczy. Pracowałem przez długi czas w księgarniach w Nowym Jorku i wiem, że książki, które błyszczą, przyciągają uwagę na chwilę. Liczy się pierwsza sekunda. Książki Bored Wolves są bardzo podobne do naszego domu, z czasem i na nich będzie widać upływ czasu, ale doda to im więcej charakteru. Tworzymy książki, które mają przyciągać uwagę swoją świeżością, ale które będą wyglądały dobrze także za 10 lat, miały w sobie tego nieprzemijającego ducha, zarówno jeżeli chodzi o formę, jak i zawartość. Więc tu na pewno jesteśmy pod wpływem naszego otoczenia.

Powiedzieliście, że w 2020 roku poczuliście, że jesteście już gotowi, żeby wydawać książki, a co było wcześniej?

S. L.: Wspólnie pracowaliśmy łącznie nad ponad setką książek dla innych artystów i wydawców. Mamy duże doświadczenie, wiemy, co i jak chcemy robić.

J. O.-L.: Pracuję w branży wydawniczej od 18 lat, a od dziewięciu wyłącznie w trybie zdalnym. Przez te wszystkie lata miałam (i mam!) szczęście do współpracy ze świetnymi osobami, zajmującymi się opracowaniem graficznym, językowym czy tłumaczeniami. Przyglądałam się różnym podejściom do materii książki, stylom pracy i przesiedziałam niezliczoną liczbę godzin w drukarni. Zanim zaczęliśmy sami wydawać książki, przez ponad 10 lat wspólnie ze Stefanem pracowaliśmy nad projektami wydawniczymi dla innych instytucji i artystów..

I to w Polsce byli ludzie, od których chcieliście się uczyć?

S. L.: Bardzo się cieszę, że działamy w Polsce. Gdyby Asia była Czeszką, pewnie mieszkalibyśmy w Pradze, ale cieszę się, że jesteśmy tu, bo Polska ma wspaniałą tradycję wydawniczą. I tak jest też dziś – liczba świetnych drukarni offsetowych i wybór, jaki

mają wydawcy, są wyjątkowe. Kiedy rozmawiam ze znajomymi z Nowego Jorku, to zawsze zaskakuje mnie, jak ograniczone mają możliwości – tylko kilka papierów do wyboru, bardzo mało drukarni… Nie wiem, jak jest w innych krajach, ale porównując ze Stanami Zjednoczonymi, mogę powiedzieć, że w Polsce mamy wielkie szczęście – jest tutaj wyjątkowa kultura książki i druku.

J. O.-L.: U nas jest to wciąż stosunkowo niewielka branża, która wytworzyła fajną i otwartą na pomoc społeczność. Często pytamy znajomych o jakieś rozwiązania technologiczne, wspólnie szukamy rozwiązań produkcyjnych zagwozdek, zdarza się nawet, że konsultujemy coś, stając już przy maszynach w połowie druku nakładu. W Stanach trudniej o takie relacje. Tam też nie wpuszczają wydawcy do drukarni podczas pracy. Wysyłasz pliki, czekasz i dostajesz kurierem nakład. Jeśli coś wyjdzie nie tak, to trudno, nikt nie pochyli się nad tytułem o tak małym dla nich nakładzie. W Polsce jest dużo większa elastyczność. Cenimy sobie nasze relacje z ludźmi z drukarni – z osobami z działu obsługi klienta, ale także tymi pracującymi przy maszynach. Wiedzą, że bywa z nami niełatwo, ale są otwarci na nasze – czasami niekonwencjonalne – pomysły.

Bardzo lubię jeździć do drukarni na próby i akcepty druku. To połączenie zapachu kleju, papieru i farb bywa zniewalające. Lubię też rozmowy z drukarzami i osobami zajmującym się oprawą – czasami wspólnie szukamy rozwiązań lub zastanawiamy się, jak zrobić coś najlepiej.

Podejrzewam, że wiele osób nie zdaje sobie sprawy z tego, że w Polsce jest pod tym względem tak dobrze.

S. L.: W tym roku wydaliśmy dziewięć książek artystów mieszkających w 10 krajach. Pracujemy z sześcioma projektantami z pięciu krajów. Jest to prawdziwie międzynarodowa drużyna. To wszystko udaje się nam w czasie, gdy upadają duże wydawnictwa, szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Ubiegły rok był koszmarny dla większych wydawców, którzy drukują w Chinach. Nagle zabrakło kontenerów, porty były zakorkowane... Tacy giganci jak Random House mieli potworne opóźnienia, byli zmuszeni przekładać premiery książek. A my w tym czasie, we dwójkę, wydaliśmy 10 tytułów. Nasz najbliższy zespół produkcyjny jest relatywnie blisko, a do drukarni dojeżdżamy w półtorej godziny. Okazało się, że jesteśmy bardziej stabilni niż Random House.

A jak jest z waszymi czytelni(cz)kami?

S. L.: Większość naszych czytelników mieszka w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie oraz w różnych krajach Europy. Sprzedajemy nasze książki głównie za granicą, ale w Polsce cieszą się o wiele większą popularnością, niż się spodziewaliśmy, i to nie tylko te polskich twórców.

J. O.-L.: Ludzie czasami do nas piszą, że zobaczyli nasze książki w księgarni (można je kupić w paru miejscach w Krakowie i w Warszawie, a teraz będziemy dystrybuowani przez Bęc Zmianę) i że są nimi urzeczeni. Ze zdziwieniem odkrywają, że takie książki są wydawane w Polsce. Byliśmy też na Warszawskich Targach Niezależnych Wydawców i nawet bardzo młode osoby były zainteresowane tym, co robimy, i mówiły, że nasze książki wyglądają inaczej niż to, co dotychczas widziały. Podobne relacje dostajemy od Marty z zaprzyjaźnionego wydawnictwa Hokus-Pokus, która często zabiera nasze książki na różne wydarzenia targowe. A pamiętajmy, że nasze książki wydajemy po angielsku, mamy na razie tylko jeden tytuł w wersji polsko-angielskiej.

S. L.: To Mikołaj Moskal był pierwszym polskim artystą, którego książkę wydaliśmy. Jesteśmy w procesie powstawania kolejnych: obecnie pracujemy nad publikacjami z Alicją Bielawską, Karoliną Bielawską, Martą Bogdańską, Joanną Burdzel, Antoniną Gugałą i Anną Orłowską. Nawet jeśli większość naszych książek sprzedajemy za granicą, wciąż chcemy tworzyć i być częścią społeczności również w Polsce.

Rozsiana po całym świecie społeczność to nie tylko wataha Bored Wolves, odbiorcy również?

S. L.: Kiedy miałem 19 lat, rzuciłem college i wróciłem do rodzinnego Nowego Jorku. Pewnego dnia poszedłem do Museum of Modern Art i w księgarni zobaczyłem książkę Ingo Giezendannera, szwajcarskiego twórcy zinów i książek artystycznych – to było prawdziwe olśnienie. Niedawno skontaktowałem się z nim, zaczęliśmy korespondować, a potem miałem okazję zobaczyć jego niepublikowane rysunki i skończyło się to wydaniem książki. 18 lat po tym, kiedy go odkryłem. Niesamowite. Wydana przez nas książka *Kitchen* jest pandemiczna, choć w nieoczywisty sposób. Ingo każdego poranka rysował

przedmioty leżące na kuchennym stole – ten rytuał pozwolił mu nie oszaleć podczas lockdownów.

Książka miała mieć premierę w zeszłym roku w Zurychu, gdzie Ingo mieszka. Obawialiśmy się, że z uwagi na formalności z cłem paczka z książkami nie dotrze na czas, więc kupiłem bilet na samolot, wypakowałem plecak niewielkimi formatowo książkami Ingo i poleciałem do Szwajcarii. To były jedne z najwspanialszych dni w moim życiu. W Zurychu odbywały się targi książki i ludzie byli bardzo zainteresowani tym, co ze sobą przywiozłem. Wtedy poczułem, że nie jesteśmy poza centrum. Jeśli mogę dotrzeć do Zurychu, do Berlina, to znaczy, że możemy z naszymi książkami dotrzeć wszędzie. Wtedy też zorientowaliśmy się, że rzeczywiście mamy swoje grono czytelników. To było bardzo budujące i dające nadzieję na przyszłość. Jak długo będziemy szczerzy ze sobą, autentyczni w tym, co robimy, będziemy tworzyć książki dotykające podstawowych prawd i piękna, znajdziemy czytelników.

Jesteśmy trochę jak nasi sąsiedzi rolnicy, mieszkamy tutaj w górach i rozrzucamy ziarna. Nigdy nie wiadomo, do kogo trafi nasza książka.

I co z tego wyrośnie...

S. L.: Tak, może trafi na nie jakiś dziewiętnastolatek, który właśnie rzucił college...